



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

REKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Jakkolwiek wiatr chłodny przeciąga jeszcze, jakkolwiek niebo pozbyć się jeszcze nie może szarej sukienki chmur, wszystko zwiastuje wiosnę, wszystko dąży do odrodzenia się, do życia.

Gdyby nie o tem nie mówiły nabrzmiałe pąki krzaków i drzew i kielkujące, zielonawo-różowe źdźbło trawy, — to powiedziałyby nam o tem dzienniki wszystkie, dzwoniące w surmy wojenne. Prawda, że z onych haseł groźnych może się jeszcze pieśń pokojowa wywinać, ale nabrzmiałe pąki interesów międzynarodowych, jak dotąd, inaczej mówią...

Są tacy, co z każdą wiosną oczekują wojny. Przychodzi do niej, czy nie przychodzi, ale ludzie marsowiej patrzą, widocznie krew im w żyłach gra szybciej i większej fantazyi dodaje. Bądź co bądź, jeżeli państwo z państwem, naród z narodem się poswarzył, — to oczywiście było to na przedwiosniu, następnie huk, puk — i niespodziewana wojenka wybuchła, trwając świat cały zamąceniem błędnego spokoju.

Powstaje larum.

Mocarstwa potężniejsze badają się wzajemnie, zbliżają się, to oddalają, wreszcie widząc, że z ziarenka gorczycznego potężny badyl może urosnąć i machnąć na lewo i na prawo, — łączą się w imię dobra ogólnego, poswarzonej hołocie klapsa dają... i cicho—sza! Tak było z wojną grecko-turecką, tak jest dotąd z Kretą, gdzie raz wraz z pod zniszczeń popiołów wylatują skry jeszcze nie przytłumione, lecz o pożarze już mowy nie ma: koncert europejski odegrał zgodnie i pięknie symfonię swoją i jest spokojny... do wiosny.

Wiosną więc rozwydrzyła się Grecya, wiosną o miecz stalowy pobrzękują obecnie Stany Zjednoczone Ameryki, grożąc Hiszpanii odebraniem perły Antylów; wiosną wreszcie mała rozbiórka Chin nastąpiła i zachmurzyło się czoło młodej Japonii, że wytrawniejsi od niej mistrze na polu polityki, z przed ust jej niejeden smaczny usunęli już kasek.

Jak będzie i co będzie z tych cichych zdobyczy na dalekim Wschodzie, dziś jeszcze nie przesądzać nie można. Pierwsze tam skrzypce trzyma obecnie, wzmagające się wciąż w siłę, a potężne państwo Rosyjskie. Olbrzymie przestrzenie Syberyi, przerznięte z czasem siatką kolei żelaznych, otworzą ruch ogromny między Zachodem a Wschodem; źle na tem nie wyjdzie i Warszawa, jako główny punkt komunikacyjny, w którym zbiedz się muszą wszystkie arterie ruchu handlowego.

W danej chwili ciekawszym jest zatarg Hiszpanii z Ameryką, zbliżająca się walka kupca z hidalgiem Iberyi. Nie dojdzie do nas najslabszy odgłos walk, szmer najłżejszy, krających spienione fale oceanu pancerników, zdradzieckie ruchy torped, cała ta wrzawa wojenna, cały ten obraz przepyszny a grozy pełny bitw morskich. Usiłowania Europy, by strony zwaśnione pogodzić, spełzły na niczem, a kto wie, czy w owej zbliżającej się walce, sprawę całą miecz czy pieńiądz rozstrzygnie? Stany Zjednoczone nie mają żołnierza, Hiszpania nie ma złota. Co przeważy?—ciekawe!

Przed paru miesiącami trwała gorąca walka w Towarzystwie dobroczynności. Szło o wybór prezesa, którym w danej chwili był książę Michał Radziwiłł, a którego pewna grupa członków usunąć chciała z zajmowanego dotychczas miejsca. Przeciwnicy się starli, większością głosów został nowy prezes obrany, ks. Radziwiłł się usunął.

Nie będziemy tu rozbierali pytania, źle czy dobrze się stało. Fakt pozostał faktem—i wola większości uszanowaną być powinna. Wolno zresztą było pismom przychylnym dawnemu prezesowi krytykować postępowanie zgromadzenia,—ale niewolno postępować tak, jak postąpiło, i to katolickie *par excellence* pewne pismo.

Wychwalając zasługi, jakie położył książę Radziwiłł na polu dobroczynności, pismo owo gani zarząd czytelní miejskich, pozostających pod opieką Towarzystwa dobroczynności. Nie dość, że wylicza „złe książki,” jakie niby mają znajdować się w czytelníach Towarzystwa, lecz przedstawia obraz demoralizacji, rozwijającej się jakoby na schodach i w salach czytelní. Napomyna się tam i o „sprzymierzeńcach szatana,” w których rękach znajdują się czytelníe i postępkach, za których pomocą odniesione zostało zwycięstwo na wyborach ostatnich.

Przypuśćmy nawet, że wszystko jest prawdą, że jest „demoralizacja,” że są „szatani,” że były „podstępny.” Ze złem każdym można i potrzeba walczyć, ale jest walka dwójaka, dwójakie postępowanie. „Bieliznę brudną myje się w domu u siebie,” powiada przysłowie francuzkie; myją bardzo cicho, a u nas—przy drzwiach nawet zamkniętych.

Coś podobnego zdarzyło się u nas, ale brudnej nawet bielizny nie było, wydobyto jednak szmaty jakieś i wystawiono na widok publiczny.

Świetną dał odprawę robocie podobnej Prus, w jednej z dawniejszych swoich kronik.

Obywatelskie wystąpienie znakomitego kronikarza wywołało odpowiedź w N. 14 „Przeglądu” p. n. „W czem Prus się myli.”

— Myle się prawdopodobnie w każdej sprawie—odpowiada zaczepiony—jest to bowiem ogólnie ludzka wada. Lecz nie omyle się w tej jednej definicji, że jesteśmy bardzo... młodem spo-

leczeństwem, dzięki czemu każdy z nas ma trochę za dużo wiary we własne przekonania a trochę za mało szacunku dla cudzych.

Gdyby możebnem było przepisałibyśmy całą ostatnią kronikę Prusa („Kur. Codz.“ Nr. 105), ażeby dać poznać czytelnikom naszym, w czem instytucja czytelni zaczępioną przez „Przeg. Kat.“ została i jak mądrą nauczającą, sumienną, była obrona Prusa. Rzecz jednak jest za wielkiej wagi, ażebyśmy choć w głównych zarysach nie nakreślili zbyt żywo obchodzącej nas sprawy.

Na apoteozę byłego prezesa a potępienie czytelni zostających pod zarządkiem T. D. Prus powiada:

— Nie rozumiem taktyki przyjaciół ks. Radziwiłła. Ciągłe mówią, że stała mu się krzywda i zachwycają się jego działalnością; ale żaden nie pomyśli o tem, ażeby księcia do dalszej użytecznej działalności zachęcić i tym sposobem otworzyć mu drogę do rzeczywistego tryumfu.

Wszak to ks. Radziwiłł zwrócił uwagę na los chłopców między 7 a 15 rokiem ich życia. Wszak to on wystąpił z projektem utworzenia przytułków, w których opuszczone dzieci mogłyby potrochu uczyć się rzemiosła, a przynajmniej nie wałęsać się po ulicach i nie pracować na kryminal?

Dlaczego przyjaciele księcia, zamiast co tydzień lać mu gorycz do serca, nie powiedzą raczej:

— „Ma pan wyborny pomysł, stosunki, majątek i liczne grono przyjaciół. Zabierz się więc do pracy, którą lubisz i zakładaj swoje „Nazarety“ w każdej gubernii. Jeżeli chodzi ci o pożytek dla społeczeństwa, będziesz należał do jego najzasłużeńszych reformatorów. A jeżeli pragniesz sławy, postawisz sobie w ten sposób jeden z najwyższych pomników, na którego budowę znośić będą cegły nawet twoi przeciwnicy.“

— Czy takie zwrócenie się do dobrej woli ks. Radziwiłła — mówi Prus — nie byłoby lepszem aniżeli jałowe i niesprawiedliwe dowodzenie, że „wpływ naszych czytelni już oddziaływa zgubnie na Warszawę“?

Dalej następują zarzuty wspomnianego tygodnika i odpowiedzi Prusa.

Zestawmy je, bo coś z tego nauczyć się możemy, na myśl nam przyjdzie pralnia domowa i...

Ale nie uprzedzajmy faktów

Na str. 213 „Przeglądu Kat.“ czytamy:

„Chodziły niedawno pogłoski, kto wie czy mylne (zatem *niepewne*—nasz przypisek), iż wieczorami wynoszono pośpiesznie z bibliotek książki różnej barwy!... ale nie zastanawiając się zbyt dokładnie nad tem, o czem w pobliżu czytelni mówiono, wyznać należy, że dzieła, które usunięto pod jakimś strachem, nie były to tylko Hugony, ale wiele innych: Heilperny, Bellamy, Huxley'e, Smithy, Drapery, których poważna liczba zastanawia i przestrasza.“

Na to Prus:

— Nie wiem, jaki skutek wywołała ta najnowszą rewelacya „Przeglądu katolickiego“, lecz dawniejsze jego utyskiwania już odbiły się w petersburskich gazetach. Na ich podstawie „Swiet“ ogłosił, że: „nadwiślańscy księża chcą z czytelni dla rzemieślników usunąć książki o treści szkodliwej i niemoralnej, za jakie mają uchodzić wszystkie te, co przedstawiają w złem świetle: lud rosyjski, władze rosyjskie i prawosławie.“

Zadymilo się i ujrzano pożar, wróbel wyleciał z łam „Przeglądu“ a wołem wrócił.

Dalej tygodnik dla udowodnienia swej tezy, że wpływ czytelni jest zgubny, szeroko powiada o objawach łobuzerstwa, jakie można widywać, na wązkich schodach, prowadzących do czytelni na piętro...

— Maniu! daj buzi—wołają.—Stasiu! wróćisz w wieczór? a potem ścisk, pisk.—

A Prus na to:

Ten „obrazek“ wygląda na szukanie dziury na całym. Gdyby bowiem instytucje odpowiadały za rozmowy i zachowanie się rozmaitych lekoduchów, w takim razie należałoby pozamykać np. ementarze, skasować odpusty, wędrówki do miejsc cudownych i t. d.

„Przegląd“ mówi dalej:

„Co roku dokupywano książek nie mało, a w jakim duchu wybierali je lub zalecali dla naszego ludu: pan Jan Karłowicz, Leszczyński, Krzemiński czy Świętochowski—domyslać się łatwo... trudno było spotkać się tylko z ich spisem.“

Prus:

— Jakie wnioski z powyższej... uwagi wyprowadzi np. „Swiet“—nie zgadnę. W każdym razie wymienione tu osoby wyglądają na ludzi mocno podejrzanych, przynajmniej w obec kancelaryi „Przeglądu Katolickiego.“

Ale oto krótka charakterystyka wymienionych wyżej osób:

Leszczyński znany w mieście adwokat przysięgły;

Krzemiński ukształcony i sumienny literat, religijny głęboko;

Karłowicz—organizator ludoznawczej literatury, zajmuje poważne stanowisko nie tylko w naszej literaturze ale i w historii naszej cywilizacji—wreszcie:

Świętochowski w ostatniem „Liberum Veto“, nakreślił te słowa:

„A wtedy na owych szczytach cywilizacji objawił się Zmartwychwstały Chrystus, który uczył przed wiekami tych samych prawd i umierając na krzyżu, nie rzucił swym katom przekleństwa, lecz wyszeptał konającymi ustami słowa przebaczenia. Tego wspaniałego obrazu nie zatrze najzuchwalsza ręka w przyszłości.“

No i cóż?... Czy i teraz „Przegląd Katolicki“ łatwo domysli się: w jakim duchu Świętochowski będzie wybierał, lub zalecał książki dla naszego ludu?... rzuca wreszcie Prus.

Minęły Święta, najuroczystsze ze świąt kościoła naszego. Kto znał Warszawę, z jej ruchem, gwarem, tłumem przechodniów, zdziwiłby się, gdyby nagle na ulicach jej w dniu pierwszym Wielkiejnocy pojawił się. Miasto puste, jakby anioł milczenia przeleciał i ulice opróżnił i ruch zupełnie zamknął. Tłum, albo w kościołach zanosił modły do Pana nad Panami, albo się zamknął w domach swoich i w gronie rodzinnem spożywał jajko święcone. Miasto wymarło na godzin kilka.

Na placu broni tylko wrzał szmer, gwar, zabawa. Od południa nie można już było przecisnąć się przez zwarte masy ludu, spragnionego huśtawek, młynów dyabelskich, karkołomnej wycieczki na szczyt słupa, śmiechu błaznów cyrkowych i innych rozrywek. Rzęsisty deszcz nawet nie popsuł zabawy, choć uczciwie za kołnierz lało—rzekłbym nawet, że ta przymusowa kąpiel dodawała ochoty do śmiechu i żartów.

Ale minął czas wypoczynku, powrócono do zajęć codziennych, kłopotów i oczekiwań zwlekającej z nadejściem swem wiosny.

Przed paru dniami odwiedziłem Zachętę Sztuk pięknych, gdzie była wystawa konkursowa obrazów i rzeźb.

Wiemy, że pierwszą nagrodę otrzymał tryptyk Józefa Rapackiego p. t. „Dzień robotnika“, robiony pastelami. Największe jednak wrażenie na mnie zrobił obraz Henryka Piątkowskiego: „Powiew śmierci.“

Noc—w otoczeniu drzew dwór staroświecki, w oknach płoną światła, ale poznasz łatwo, że to światło gromniczne. Blask z okien pada na krzewy blizkie i oświeśla krzewy, rozprasza ciemności. Wrota otwarte, za niemi i przed niemi trójka psów wyjących... Coś się stało—zda się, że słyszysz załośny skowyk zwierząt... Patrz!...

Cień—mara wylania się z mgły, której nie dojrzałeś na razie... To śmierć!...

Spełniła straszne zadanie swoje i uchodzi. Popycha ją wiatr jakiś, szata wydepta naprzód. Idzie to widmo straszne przy akompaniamencie wycia psiego... idzie u płotu, po za którym przecudowne bzy rozkwitają, zda się, że woń z nich bije, że oddychają powietrzem poranka wiosennego, bo oto hen, wdali, za szeroko rozlanym stawem, pojawiają się najpierwsze błyski świtu.

Bzy... świt... rozbudzenie się ziemi do życia i ta mara okropna—czyni niezatarte wrażenie

grozy. Kontrast życia i śmierci, walka pomiędzy temi dwoma prawami natury—to tragedia odwieczna, a temat niewyczerpany dla poetów i malarzy.

Obraz ten Piątkowskiego jest jednym z najpiękniejszych dzieł jego i zaszczytne miejsce ma dając w rzędzie mistrzów pędzla.

??

SONETY.

OCZY.

Czy są twoje, jako dwie krynice,
Jako niebiosy są oczęta twoje.
W głębie ich patrząc ducha mego koje,
I radość moje opromienia lice.

Z nich siłę biorę, ich pięknem się poję,
Z nich czerpię święte natchnień tajemnice
Z nich myśli moje, potężne orlice,
Moc biorą, lecąc na duchowe boje.

Twe oczy są to mistyczne jeziora,
Gdzie nigdy zwątpień fala nie przepływa
I żadna burza ich piękna nie zmniejsza.

To cudotwórcza toń, w niej dusza chora
Znów się do życia budzi i odżywa,
O, z najpiękniejszych w świecie najpiękniejsza.

Z ŻYCIA.

W życia naszego wielkiem roztruanie,
Ból drzemie na dnie, choć rozkosz się pieni,
A ludzie, rozkosz pijąc zaślepieni,
W coraz ciemniejsze zstępują otchłanie.

Przytknąwszy usta swe oszołomieni,
Pijani szalem milczą, lecz pytanie
Jako sfinks staje, co z jutrem się stanie,
Kiedy blask zgaśnie omamień promieni.

Co będzie z jutrem, kiedy tłum wysaczy
Rozkosz i pocznie pić krople zgryzoty?
Co będzie z jutrem? ha! rozkosz się skończy,

Noc nad sercami rozepnie namioty,
A ludzkość, pijana w wieczystym oblędzie,
Wieczyscie krople goryczy pić będzie.

Jan Iwański.

LISTY

TEOFILA LENARTOWICZA

do Eli (Izabelli)

(od 1871—1893 r.).

I.

Florencya—18 września—71 r.

Piazza villa Eron al Trebia—nr. 1.

Najłaskawsza Pani Dobr!

Dzięki składam najserdeczniejsze za życiwe słowo otrzymane przez pośrednictwo Pani Julii; dodałaś mi Pani otuchy, mówiąc, że jeszcze tam

zapomniany nie jestem i że są współziomkowie, dla których prace moje, jak nie będą małej wartości, mają jakiś urok.

W zawodzie moim i literackim i artystycznym trzymałem się ściśle prawdy i natury, własnowolnie obcinając skrzydła fantazyi, na czym jeśli straciła moja poezja, to z drugiej strony zyskało sumienie; ileż to bowiem genialnych błędów nie wcisnęło się w poetyczne czy artystyczne utwory, ile z tego zwichnień, ile zamętu potworzyło się w umysłach. Otóż czuję się wolnym od tego rodzaju zarzutów, wszakże to nie małe zadowolenie i nie wiem czy nie równające się wieńcom zyskanym wyrobem przedziwnych fałszów, popisów szumnych i słów brzmiałych, które krytyki zdrowego sensu nie znoszą.

W tych czasach wyjdzie tu we Florencji tom poezyi moich, tłomaczonych na język włoski, które będę się starał przesłać szanownej Pani, jako dokładnie znającej piękną włoską mowę, żebyś sama mogła osądzić, jak tłumacz *) przejął się rzeczą, którą miał przed sobą.

W Poznaniu wychodzą moje „Echa Nadwisańskie“ u księgarza Żupańskiego, które mam nadzieję, że budząc wspomnienia wciąż beznamiętną krytyką zagłuszane, w sercach ludzi dobrej woli znajdą przyjęcie braterskie.

Jedno jak i drugie jakże byłbym szczęśliwy, żeby mogła odczytać zacna nasza Gabryella — przed nią jedną chciałbym zaprezentować te moje roboty. Znała mnie ona chłopcem 18-letnim, dziś mi już od tego czasu ubiegło lat trzydzieści i u zachodu mego jestem. Stan chorowity zdrowia niewiele mi już obiecuje, niechże choć przez pośrednictwo pisma zobaczymy się raz jeszcze, zanim się ujrzy po drugiej stronie grobu.

Wdzięczny jestem Pani Julii, że mi ułatwia sposobność przesłania tych kilku słów, do których dołączam żadaną fotografię, że mnie zbliżyła do osób, dla których z najgłębszą cześcią pozostaję, tem bardziej, że wiem, iż to nowe pokolenie dzisiejsze schodzi z dróg dawnych i zapomina najświętszych obowiązków, ciążących na każdym człowieku uczciwym, że zwątpienie ogarnia serca i że dusze szlachetne dawnego autoramentu już tylko dziś do wyjątków należą.

Przyjm szanowna Pani, wyrazy mojej cześci.
T. Lenartowicz.

II.

Florencja—6—10—73 r.

Najserdeczniej dziękuję najłaskawszej Pani za znajomość z panną S. **) która mamy nadzieję, że nie prędko opuści Florencję, gdzie na wstępie zaraz tyle znalazła życzliwych osób.

W jesieni powracają familie florenckie z Kampanii, będę więc miał sposobność pomówić z tym i owym o zdolnościach i pięknych przymiotach duszy naszej współziomki.

Dziękuję Pani za wiadomości o Skimborowiczach i o najszanowniejszej pannie Narcyzie ***), która tak często do myśli mi powraca i której poezye na pamięć nieraz sobie przypominam.

Wiersze moje poleciłem Żupańskiemu, żeby czcigodnej Pani przesłał i nie rozumiem, czemu tego nie uczynił—piszę do niego w tych dniach i napędzę, żeby się z obietnicy wywiązał.

Panią Julię widuję czasami, jest ona prawdziwą, choć nieznaną czcigodnej Pani przyjaciółką.

Za *avertissement* za wiersze także jestem obowiązany, za owe „Tylko mi nie mów o miłości ludzi“ — tylko czy się poprawię, czy osobiście uwierzę w życzliwość dla siebie moich rodaków, nie wiem, może, jeśli cudu doświadczę, tej prosto mówiąc szukanej życzliwości.

O kraju mam niejakie pojęcie i wiem, że nie tak źle jest moralnie, jak to wielu gada — i pracuję i robią prawie niepodobne wysilenia utrzymania się przy własności, ze wszystkich pro-

wincyi Warszawska i Mazowiecka najlepiej niewątpliwie.

Wyrazy szczerzego szacunku

Teofil.

III.

Florencja 22—5—74 r.

Piazza S. Maria Novella—20.

Najzaciejsza Pani!

Przykro mi, że to właśnie, co życzyłem sobie, żebyś poznała z moich robót, nie doszło jej. Poezje, o których wspomina najłaskawsza Pani, są moje pierwsze, później wydałem „Echa“, „Album“ i „Zbroje“, które to trzy ostatnie tomiki kiedyś może podniosą krytycy nasi, kiedy się czasy odmienią i może na domowinę, jak Rusini nazywają grób swojego brata, łaskawe wejrzenie sproszą — dziś ja tam u Was, drodzy moi, nieznany.

Panna Słupska stara się, pracuje biedaczka, chciałaby sobie wyrobić jakieś stanowisko, ale tak to trudno śród obcych i w kraju, gdzie języków obcych się nie uczą. U nas każda panna mówi po francusku, kiedy tu w wyższej nawet arystokracji rzadko się znajdzie, któraby tym językiem mówiła, a cóż dopiero niemieckim; niedostatek ten zastępują przynajmniej znajomością swoich literatów, i niema kobiety, któraby Tassa, Leopardiego, Giustego, Ariosta, Silvia, Pelica, Petrarki i tylu innych nie znała.

Za naszych młodych latek kobiety i młodzież przepisywały, uczyły się poetycznych utworów, dzisiejsze panny pozytywne gardzą tym towarem, szal pozytywizmu dotknął je i oziębł dla wszystkiego, co piękne, co bohaterskie. Smutny to objaw i niewiele na przyszłość obiecujący — chleb, chleb, ależ nie samym chlebem, czy ziarnem, czy kartoflem żyje stworzenie. Może tam znacie, najzaciejsza Pani, co lepszego, ale ja z moich współziomek od lat kilkunastu żadnej tu nie spotkałem, któraby do przyjaciółek Gabryelli była podobna; pozytywne i wszystkie jak pozytywne, alias katarynki, niemieckiego walca, repetują Darwinowskie głupstwa, czy Heklowskie podłości — i to się nazywa *być wyższą*.

Proszę, droga Pani, ucałuj rączki Gabryelli odemnie i powiedz, że nie zasypiam. Kolce życia mają to dobrego, że przynajmniej budzą ducha do wyższej czynności.

P. Grudzińskiego poezji nie znam umieszczonej w piśmie „Na dziś“, ale znam zbiorek wydany w Krakowie, w którym znalazłem wiele talentu, język piękny i serce poczciwe; tego, co nas ożywiało, w żadnym z młodszych, których znam, nie dostrzegam; idea czasu porywa ich, której czarom żeby się oprzeć, trzeba przeboleć tysiąc zawodów i na dzieje świata patrzeć z wysokości nie Parnasu ale Kalwaryi.

Droga Pani nie masz wyobrażenia, jaka to męka, albo raczej masz je, czując, jak Twoja droga Gabryella.

Tego roku chciałem odwiedzić Kraków i Księstwo, ale zamiar kończy się na chęci, niechże więc dalej wlecz się czas i piosenka przedłuża owa — czemuż nie mogę powiedzieć:

Questo e il terren' che torcai pria,
Questo e il mio nido,
Ove nutrito fui si dolcemente,
Questa e la patria in cui mi fido,
Madre benigna e pia. *)

Adieu, droga Pani — Bóg z Wami — memento vivorum.

Wasz do zgonu

Teofil.

Pozdrów, droga Pani, Skimborowiczów i resztki domierające naszego niegdys kółka.

IV.

Florencja, 22—2—75.

Dziękuję najczcigodniejszej Pani z całego serca za śliczną akwarelkę i słowa artysty *), które gdyby nie Pani, nie byłyby mnie doszły. Tak mało mam przyjemności w życiu, tak rzadko dochodzą mnie słowa przychylne, że ewenement akwarelki rozrzewnił mnie głęboko.

Ja całą tę zimę przebiekowałem, a od kilku dni prawie z łóżka nie wstaję: katary, uderzenia humorów na piersi, oto dziś moja największa bieda, a powodem jej lat upłynionych 50, usposobienie do tej choroby od dzieciństwa i czas fatalny tegorocznej zimy; bardzo mi to nie na rękę, wiele rzeczy pozaczynanych mogłem być pokończyć — ha, no cóż począć, trzeba się zgodzić na wszystko.

Ostatnią moją robotę rzeźbiarską jutro kole-dzy wyprawiają do księstwa (do Gozdanina) na grób P. Bielickiego; jest to wypuklorzeźba, przedstawiająca Maryę Pannę z Dzieciątkiem, którego rączkę do ust niesie, odpowiednio do słów modlitwy:

„Przyczyn się za nami, Święta Boża Rodzicielko.“ Pomysł i egzekucja w marmurze wypadły szczęśliwie, przynajmniej tak znajdują tu-tejsi profesorowie akademii.

„Wandę“ skończyłem; jest to najobszerniejszy z moich dotychczasowych utworów, napisany formą i stylem gminnym, jak wszystkie moje ludowe pieśni. Do „Założenia Poznania“ brakuje kilku rozdziałów — ponure to malowidło pełne burz i bitew, a chociaż gminne, tak odmienne od wszystkiego, co dotąd pisałem, — dałby Bóg, żeby to wyszło jeszcze za życia autora i żeby znalazło echo w sercach współbraci.

O działalności p. Narcyzy wiadomość wielce mnie ucieszyła, tylko że jabyłem wolał usłyszeć coś o jej własnych utworach, a nie o tłumaczeniach i wydawnictwie dzieł Tańskiej, czego lada kto dokonać potrafi. W przyszłym liście donieście mi, najczcigodniejsza Pani, jakie uczucie ożywia naszą gwiazdkę, naszą poetkę z nad Wisły — czy tylko obowiązku, który się dokonywa ze stoicką wytrwałością, czy też owej dziecinnej prostoty i swobody, która mimo wszystkich burz patrzy wciąż w chmury ciągnące pewnem okiem, że się przetrą. Kochana P. Narcyza w czasie kiedy ją znałem, była w walce duchowej, w goryczach zwątpień — jeśli z nich wyszła?

Nie sądz, najczcigodniejsza Pani, żeby nie należał do tych, którzy powiadają, że nigdy nie wątpią i że się znajdują w stanie łaski nieustającej; jest to kłamstwo, ile że na duch człowieka idą wciąż wichry przeciwnie, pojmuję wszakże i doświadczam sam dobrodziejstwa trzymania się podstawy wiary, jak się drzewo ziemi trzyma i tego z całej duszy naszej drogiej siostrze i wieszczce życzę.

Pyta mnie się najzaciejsza Pani, czy posiadam drugi odlew „Głowy św. Jana?“ — mój Boże, a na cóż, jeśli pierwszy przychodzi mi oddać za cenę odlewu i cyzelowania; położyłem cenę 2,500 franków i nikt nie kupuje; zdarza się nabywca za 1,700 i temu zapewne sprzedam, za cały zysk biorąc 300 fr. za parę lat roboty — zaiste, że nie świetna zapłata.

Tego roku, jeśli się poprawię na zdrowiu, mam pomysł piękny do dwóch grup: „Andromedy“ (Nowa Andromeda) i „Homera na grobie Achillesa.“ Andromeda budzi mnie po nocach, skępowana łańcuchami niewiasta, przykuta do walejącego się muru; na zdartym jej królewskim płaszczu leży jej piękne dziecko, które się z pychą w te gałgany królewskiego płaszcza okrywa, kiedy drugie na murze, na ramieniu matki, kładąc rączkę, palcem i wzrokiem ukazuje w powietrzu, jakby widziało zjawiającego się Perseusza. Homer mój pomysłany w chwili, kiedy traci wzrok na widok cienia Achillesa.

*) Ettore Marcuccio.

**) Izabela Słupska pojechała do Florencji w celu udzielania lekcji języków: polskiego, francuskiego, niemieckiego; następnie złożyła tam egzamin państwowy.

***) Narcyza Zmichowska.

*) To jest droga mi ziemia, to jest moje gniazdo, które mię tak słodko żywiło, to jest moja ojczyzna, której ufam, matka błogosławiona i pobożna.

*) Przesłano Lenartowiczowi wiersz (do niego napisany i akwarelkę, ilustrującą jego poezję: „Idzie sobie pachole.“

O ruchu literackim w Warszawie czytuję i powiadają mi przyjeżdżający z kraju. Biblioteka, Kronika, Dziennik Ilustrowany i Kłosa godne są uwagi, reszta próby—ta wściekło-flegmatyczna (tak) naukowość żywi się scjencyficznymi pismami francuzkimi i niemieckimi, własnych poglądów i doświadczeń—maluczko. Jak tam stoi matematyka—nie wiem, mechaników jest podobno kilku; o wielkich prawnikach, geologach, chemikach i historykach nie nie słyszę—doznego przychodzimy i o znanem dajemy znać.

Ze Warszawa dziś jest najwyżej, na to zgoda, że Galicya, mimo akademii i akademików, najniżej, na to nie wiem czy się Pani zgodzi... pycha i furyeryzm ich zaślepia. Co tam za zbrodnie pisać przeciw temu, co sercu naszemu najdroższemu! A teraz coś więcej drogiej, zacnej Pani napiszę: oto że głowa ciężka, pulsa silnie biją i miesza się porządek myśli... adieu więc, czyli po polsku Bóg z Wami, Najdrożsi, w których sercu szlachetne uczucia nie wygasły.

Wasz najmniejszy brat
Teofil.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-ach częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

W tydzień po tem spotkaniu, znów się obaj zeszli z sobą u jednego z oficerów Krzysztofa Zborowskiego, należącego do sekty aryńskiej. Hohlman, ujrawszy pana Jana, podszedł do niego jak do znajomego, zapytując, dlaczego go dotąd nie odwiedził. Spostrzegł jednak odrazu, że młody człowiek odpowiada mu z przymusem, tłómacząc się brakiem czasu, więc też przestał nalegać dłużej, często jednakże zwracał ku niemu rozmowę a oko jego nieraz z dziwną uwagą badało jego twarz. Czy przypadkiem, czy umyślnie wyszedł razem z nim, a skoro się znaleźli sami, ozwał się, zatrzymując pana Jana, chcąc go pożegnać.

— Uciekasz odemnie, młodzieńcze, jak od zapowietrzonego, ale powiedz, co we mnie jest tak strasznego? Wątpię, byś wierzył, iż używam jakich sztuk wzbronionych do zaciągania dusz ludzkich w swoje sidła. Przypatrz mi się, dodał z uśmiechem—wszak nie mam ani kopyt, ani pazurów, nieprawdaż? Więc czegoż się mnie obawiać? Nie mogę przecież nawrócić cię na moją wiarę, jeżeli twój rozum sam nie pożąda jej światła,—my nikogo gwałtem nie nawracamy, bo każdemu chcemy zostawić swobodę w rzeczach wiary, i wcale nie pragniemy jak wasi księża...

— Jeśli chcecie bym z wami został, ani słowa o religii!—zawołał pan Jan porywczo. Nie chcę nic słyszeć!

— A więc dobrze, nie będę nic mówił, jeżeli ci się to nie podoba. Ale powiedz mi, czy nie straszniesz grozi niebezpieczeństwem owo zwierzę ryczące?—dodał Hohlman, dotykając ręką jego ramienia, a drugą wskazując na obóz rozłożony w pobliżu, który o zachodzie słońca wrzał gwarem piekielnym, złożonym z pieśni pijackich, wrzasków, przekleństw i śmiechów.

— A któż to robi wszystko, jeśli nie wasi współwyznawcy!—zawołał pan Jan.

— Czy między waszymi tego niema?—spytał predykant, patrząc mu w twarz spokojnie i badawczo.

— Z pewnością mniej, niż wśród waszych!—odparł żywo.

— Jeżeli mówisz szczerze, to się bardzo mylisz; jest tego daleko więcej niż pomiędzy naszymi i zło doszło nawet tam, gdzie dojść nie powinno było, bo do pasterzy ludzi, do duchownych...

— Jeżeli dłużej tak będziecie mówić, to odejdę,—zawołał młodzieniec. Darmo chciełibyście wynaleźć co złego w naszych duchownych; każdy wie, że wiedzą oni jak najprzykładniejsze życie i nie im zarzucić nie można.

— Prawda to, że w Polsce jeszcze do tego nie doszło co gdzieindziej, ale kto wie czy jedynie obawa przed reformacją nie trzyma ich w karbach, bo były czasy, kiedy tutejsze duchowieństwo zarówno jak i inni, oddawało cześć złotemu cielcowi, a stolice biskupie nie zawsze przez godnych ludzi były zajmowane...

— Panie Hohlman, chociaż dla wieku waszego mógłbym was ojcem nazywać—powiedziecie do czego prowadzą owe dysputy? Wyznam szczerze, że nie czuję do nich ani chęci, ani zdolności; jestem tylko żołnierzem, a nie księdzem. Lepiej zwróćmy rozmowę na inny, mniej drażliwy przedmiot a więcej zajmujący.

— Dobrze mój synu, bowiem moje siwe włosy pozwalają mi tak cię nazwać; dobrze, nie będziemy już więcej tykali przedmiotu, który cię tak drażni. Wolę z tobą pomówić o czem innem, nie wiesz jeszcze o tem, że znałem twego ojca, gdy bawił w Ołomuńcu z panem Krzysztofem Zborowskim.

— Co? znaliście go?—zawołał młodzieniec.

— Tak, znałem twego ojca, starostę zakroczymskiego—odparł Hohlman spokojnie. Była to dusza gorąca, która nie znajdowała ukojenia w niczem i nigdzie... Rzucił się po świecie, szukając czegoś, ale świat nie mu dać nie mógł,—świat dogodzić może tylko takiemu, który ulepiony jest na zwykłą miarę...

Pan Jan patrzył na mówiącego, nie mogąc długo wyrzec ani słowa. Człowiek ów w tej chwili inną przybrał postać w jego oczach—znał jego ojca.

— Więc wy naprawdę go znaliście?—powtarzał ze wzruszeniem. I częstoście się z nim spotykali?

— Pójdźmy do mojego mieszkania,—rzekł predykant: to miejsce nie przystoi podobnym rozmowom.

Mieszkanie to znajdowało się na rynku, obok domu zajmowanego przez Krzysztofa Zborowskiego. Skoro się tam znaleźli, Hohlman rzekł:

— Pytałeś mnie, czym często widywał ojca twego? Bardzo często. Lubił ze mną rozmawiać, bom jest człowiekiem, który zna tajnie ludzkiej duszy. Z początku i on, tak jak ty, zamykał oczy na światło, ale później poznał, gdzie jest prawda.

— Co mówicie?—zawołał pan Jan. Mój ojciec miałby...

— Alboż o tem nie wiedziałeś?—rzekł predykant zdziwiony. Nienadługo przedśmiercią przyjął nasze wyznanie...

— To nie może być, to nieprawda!—zawołał pan Jan gwałtownie.

— Młodzieńcze, moje siwe włosy nie pozwalają mi na kłamstwo,—odrzekł z powagą i godnością predykant.

W głosie jego była taka szczerść, że nie można było wątpić o prawdziwości słów jego.

— Ale dla czegoż ja o tem nie wiedziałem?—zawołał pan Jan.

— Może ukrywano to umyślnie przed tobą. A zresztą, czyż mogę znać przyczyny twej niewiadomości? Klnę ci się Bogiem tylko, że rzekłem prawdę.

Hohlman patrzył na niego uważnie, badając na tej wyrazistej twarzy, jakie wrażenie wywarły jego słowa. Pan Jan pobałdł mocno i ściągnął brwi, jakby pod uczuciem nagłego i gwałtownego bólu; teraz przypominał sobie słowa Magdalenńskiego, które wziął tylko za potwarz po pijanemu wyrzeczoną, w celu dotknięcia go; okazało się, że była to prawda. Wiele rzeczy, wiele wypadków dzieciństwa zrozumiałe mu się stały obecnie: surowość chorążego względem najłżejszych jego wybryków... teraz przyznawał mu słusność: on sam możeby... Nie, nie, nie mógłby, nie miałby siły potępić ojca... niezna-

nego, niezrozumianego, lecz z pewnością nie-szczęśliwego! Ale przyznać mu słusność?...

Ani na jedno, ani na drugie nie mógł się zdobyć—stał między dwoma ostatecznościami. Zapomniał zupełnie o obecności Hohlmana; pochyliwszy głowę, wsparł czoło o krawędź stołu i nagle dwie łzy gorzkie, palące, stoczyły się po jego twarzy. Było mu tak, jak gdyby ciemności zaległy jego duszę i wszystko co było jaśniejszego w ni j, zagasło...

Predykant, domyślając się po części co się w jego sercu dzieje, spojrział nań ze współczuciem, starając się go pocieszyć, jak mógł i umiał. Lecz żadna pociecha nie mogła w tej chwili złagodzić jego boleści, owszem drażniła tylko ranę jeszcze bardziej. Pan Jan, nie chcąc słuchać wcale tego, co mu predykant mówił, wybiegł z jego mieszkania i idąc szybko przed siebie, znalazł się wkrótce na polu, w stronie obozu. Tam dopiero, w samotności, pod sklepieniem nieba wieczornego, które się rozciągało jak niezmierna kopuła, odetchnął łżej nieco i odkrył głowę, aby ją wiatr nocny ochłodził. W dali oboz szumił i huczał, jak rój pszczoły. Ostatnie odłaski zorzy gasły już nad miastem; jeszcze tylko wązka, krwawa smuga czerwieniła się na zachodzie i odbijała posępnie od śniegu, leżącego na polach...

Pan Jan powrócił dopiero późnym wieczorem do swojej kwatery; wierny Michał Zawala zauważył, że twarz jego była dziwnie ponura i z tego wnioskował, że pewno ma jakieś zmartwienie: chodząc więc na palcach, a od czasu do czasu ukradkiem spoglądał na niego wzrokiem współczującym.

Chłopak ten urodzony był w Radoszycach, w pobliżu których leżała majątność, przekazana przez starostę Zakroczymskiego synowi; pan Jan lubił go, bo byli w jednym wieku i znali się niemal od dziecka, a on odpłacał się mu wier-nem i wypróbowanem przywiązaniem. Dał też nieraz w bitwie dowody odwagi, i gdyby się nie był urodził w mieszczańskim stanie, byłby dziś w pierwszych szeregach rycerstwa, a nie wśród czeladzi obozowej. Może też w duszy marzył o tem, że kiedyś za meztwo na wojnie zostanie wynagrodzony szlachectwem ex charta bella, bo przecie niejednen z jego stanu doczekał się tego; dość że wśród czeladników wojskowych nie było większego zucha nad niego.

Pan Jan, od owej pamiętnej rozmowy z predykantem, stał się posępnym i jeszcze bardziej odsunął się od towarzyszy broni, oddając się zupełnie obowiązkom swej służby. To też chorągiew jego wkrótce stała się wzorową pod względem karności i porządku i pan Andrzej Zborowski rad był niezmiernie, iż potrafił sobie skapto-wać tak dzielnego oficera, który choć młody, jednakże miał dość doświadczenia wojennego, służąc przez kilka lat pod tak wielkim rycerzem jak pan Mikołaj Jazłowiecki. Powszechnem było mniemanie w owych czasach, że ziemie kresowe są najlepszą szkołą wojskową dla rycerskiej młodzieży; ale największą sławę pod tym względem posiadał dwór starosty Śniatyńskiego, jednego z największych wodzów w rzeczypospolitej, dla którego bitwy były igraszką, koń siedzeniem, odzieniem żelazna zbroja, tańce z Tatarami najmielszą zabawą. Nie też dziwnego, że ci, którzy się pod nim ćwiczyli w rzemiosle wojennem, słynęli wszędzie jako dobrzy żołnierze, a pan Jazłowiecki nieraz żartował, że pan Zamojski założył akademię w Zamościu, a on w Śniatyniu, tylko że jego akademicy, zamiast piórem po papierze, szablą pisali po łbach i karkach tatarskich.

Chorągiew pana Jana jeszcze tem się wyróżniała z pomiędzy innych w obozie Maksymiliana, że żołnierze z pod niej nie dopuszczali się takich gwałtów i grabieży, bo młody porucznik trzymał ich niezmiernie surowo i nie dozwalał na żadne wybryki w tym rodzaju. W ostatnich czasach szczególnie poczęli się go bać jak ognia, bo się stał bardzo ostrym i wymagającym.

On sam tymczasem przechodził najcięższe chwile w swoim życiu i ślady tej rozterki wewnętrznej odbiły się nawet na jego twarzy, na której, zamiast dawnego wyrazu dumnego

i otwartego zarazem, malowały się ponurość i zniechęcenie. Skoro zostawał sam, natychmiast opanowywały go gorzkie myśli, które dotychczas jeszcze nigdy nie miały przystępu do jego duszy.

— Przynajmniej teraz wszystko mi się jasnym staje,—mówił do siebie z jakąś okrutną ironią, którą starał się ból zagłuszyć. Stryj przecie słusznie się mógł bać tego, że syn wda się w ojca i że go kiedyś tak samo ucieszy swoim postępowaniem, jako i tamten... Nie dziw, że starał się surowością i grozą stłumić owe popędy i że nie dowierzał mu nigdy.... Ale najlepiej byłoby może takiemu dziecku, aby zmarniało, niż by później miało podobnego niepokoju nabawiać wszystkich.... przynajmniej stryj nie bałby się że nową płamę rzuci na jego nazwisko...

I zaśmiał się z goryczą. Ale nagle znów chwycił go ból dawny, bo przypomniał sobie inne słowa Magdaleńskiego, wyrzeczone wtedy. Jeżeli to było prawdą, to może i tamto również...

— Więc ja jestem synem zdrajcy, królobójcy! Nie, nie, to być nie może, to niepodobna. Odpychał od siebie myśl tę wszelkimi siłami, gdyż nadto wydała mu się okropną. Niema na świecie może straszniejszego cierpienia, jak owa wątpliwość: czy to, co kochamy, wartem jest kochania? Bo czyż jest taka siła, któraby nam tę wątpliwość odjęła? Pyłek to, a jednak zdolen zasłonić słońce!

A owo życie obozowe, tak straszliwie jednostajne, nie mogło zagłuszyć tych wszystkich myśli, które zjadały go, jak rdza zjada żelazo. Gdyby to było na kresach, otrząsnąłby z siebie to przygnębienie, goniąc za Tatarami, albo gdyby mu zbyt ciężkiem stało się życie, znalazłby albo śmierć, albo zapomnienie w surowym spełnianiu obowiązków rycerskich. Ale tu nie było niczego, coby osłodziło spełnianie owej codziennej, nużąco-jednostajnej powinności; jakkolwiek dotąd sobie tłumaczył postępowanie Zborowskich, rozumiał teraz doskonale że im służy a nie Rzeczypospolitej, że ich to własne plany i zamiary tu się rozstrzygają, a nie interesa kraju, które stały na boku i nie troszczono się o nie wcale. Tem ciężej mu było służyć sprawie, że coraz więcej zaczynał do niej tracić przekonanie.

Teraz spotykał się dość często z Hohlmanem i pomału przestał go unikać, przyznając w duchu, że był to najuczciwszy człowiek z całego jego otoczenia. Predykant też okazywał mu szczerą życzliwość, a widząc go tak młodym, rzucanym samotnie wśród owego steku ludzi zepsutych i upadłych, począł się o niego lękać i dlatego poszukiwał jego towarzystwa. Tym sposobem często widywano ich razem obu i w obozie poczęły krążyć pogłoski, że pan Jan chce zmienić wiarę; a puścili ją tacy, którzy sami niewiedomo jaką religię wyznawali. Jemu jednak nikt nie śmiał powiedzieć tego do oczu, lecz plotka owa nurtowała zrazu w niższych sferach, potem przeszła do wyższych, aż w końcu doszła do uszu Krzysztofa Zborowskiego. Pan podczaszy koronny, jakkolwiek prowadził życie wcale niereligijne, jednakże lubił od czasu do czasu zabawić się propagowaniem nowinek heretyckich, więc też i sprawa pana Jana zajęła go na razie bardzo mocno. Sam on skłaniał się kolejno do rozmaitych wyznań, obecnie zaś przyszedł czas na antytrynitarskie, które budziło w nim chwilowo wielkie zainteresowanie, jakkolwiek niezbyt mógł obecnie oddawać się rozbieraniom kwestyj religijnych, gdyż sprawy polityczne pochłaniały go zupełnie. Nieraz jednak dawniej urządzał sobie przyjemność, i zebraawszy kilku kaznodziejów rozmaitych wyznań, kazał im z sobą dysputować w rzeczach religii i bawiło go to, jeżeli który z nich umiał zręcznie argumentować i skoro udało mu się tem pobić przeciwnika.

Co do Hohlmana, temu nie szło w obecnym razie o propagandę religijną, tylko czując istotną życzliwość i współczucie dla młodzieńca i pojmując dobrze stan jego duszy, chciał mu podać pociechę, na jaką go stać było; a że był jeszcze jednym z tych apostołów nowej religii, którzy umieli nawracać, bo sami posiadali w sobie żarliwego ducha, nie dziwnego, że słowa je-

go zaczęły powoli znajdować przystęp do umysłu słuchacza. Sam on bynajmniej nie domyślał się i nie zdawał sobie sprawy, do czego prowadzą owe rozmowy, i jak pod ich wpływem nieznacznie nasienie wątpliwości zaczynało wschodzić w jego duszy.

Adam Hohlman był człowiekiem rozumnym i bardzo światłym; rodem z Niderlandów, oddawna już znajdował się na polskiej ziemi i poznał doskonale jej mowę, obyczaje, oraz charakter narodu. Niegdyś utrzymywał stosunki ze wszystkimi znakomitymi reformatorami: znał Melanctona, Stonkara, Socyna, Frycza Modrzewskiego. O tym ostatnim mówił zawsze z szacunkiem, jako o mężu odznaczającym się wielką nauką i rozumem.

— Pierwsze moje z nim spotkanie było w Krakowie,—mówił.—Pamiętam je dobrze, choć już więcej jak ćwierć wieku upłynęło od tego czasu. Mieliliśmy wtedy dysputę z powodu dogmatu o troistości osoby Boskiej, którego on usiłował bronić, chociaż wiem, że słowa moje sprawiły na nim wrażenie i myślał później nad nimi długo, jak się sam do tego przyznawał... Bo też każdy człek rozumny po głębszem zastanowieniu przyzna, że nie podobna wierzyć żeby Bóg miał być trojakim...

— Przestańcie!—zawołał pan Jan, który pobladł i wstał z miejsca swego.—Nie godzi mi się słuchać podobnej mowy, bo to grzech!

— Przystanę więc, jeżeli ci tak drogą twoja ślepota,—odparł Hohlman spokojnie i poważnie.—Mówilem ci już, że nie chcę nikogo gwałtem nawracać, bo prawda, gdy ma człowieka oświecić, to sama przyjdzie. I powiadam ci, że nadejdzie kiedyś czas, kiedy i na ciebie zejdzie światło Boże i przestaniesz rzucać kamieniem potępiania na ojca, jak to teraz czynisz w duchu...

— Nie, ja nie rzucam na niego kamieniem,—rzekł pan Jan głosem wzruszonym,—bo tak myślę, że był on więcej nieszczęśliwym, jak winnym,—ale też i przechwalać go nie mogę,—dodał, pobladłszy jeszcze mocniej i z trudem wymawiając ostatnie słowa.

— Rozumiem dobrze, ile cierpisz,—rzekł Hohlman, ścisnąc mu rękę,—i chciałbym przynieść ci pociechę...

— A ja was proszę na wszystko: nie tykajcie tej rany!—odparł młodzieniec z wybuchem, tak, że Hohlman umilknąć musiał, czując, że jeszcze nie pora na rozstrząsanie tych rzeczy.

W parę dni później pan Jan, wracając od marszałka nadwornego, spotkał się z kilku oficerami znajomymi, między którymi znajdował się także i Harasowski, ów dowódca wolnego oddziału oraz Raciborski, szlachak, służący w artylerii areyksięcia.

— Dobrze, że waszmość tu widzę,—zawołał pan Harasowski,—idziem na wyprawę i waść musisz z nami...

— Na jaką wyprawę?—spytał pan Jan, zatrzymując się.

— Konie nam zdychają z głodu, tymczasem chłopci i szlachta okoliczna chowają siano po lasach i żołnierze nie dostać nie mogą.

— W mojej chorągwi już kilka koni padło,—ozwał się Raciborski.

— Pójdziemy tedy w stronę Sieradza, bo tam szlachta ma jeszcze pełne brogi,—rzekł Harasowski, każdy z nas bierze ze sobą własną chorągiew, gdyż można się natknąć wypadkiem na jakiś oddział Zamojczyków, którzy kręcą się wszędzie...

— Dobrze, pójdę z waszmościami,—rzekł pan Jan po chwili namysłu,—ale tylko pamiętajcie to sobie, że do żadnych rabunków, ani gwałtów nie myślę należeć i nie pozwolę na nie moim żołnierzom.

— Bądź waszmość spokojny,—odparł Znamierowski, znany w całym obozie z hulaszczego życia, na które już całe mienie swoje stracił,—już ja w tem, by twoja cnota nie była narażoną na jakowe periculum...

Inni zaśmiali głośno na te słowa, a Harasowski dodał:

— Jako commiliton, musisz waszmość użyć nam swej pomocy, inaczej powiemy, żeś

zły towarzysz, kiedy się usuwasz od tej powinności...

— Mówilem już, że się nie usuwam,—odrzekł pan Jan dumnie.—Kiedy jedziecie?

— Za godzinę. Bądź waszmość gotów ze swoją chorągwią,—rzekł Znamierowski.

— Dobrze.

— A nie spóźnij się waść,—ozwał się Harasowski, odchodząc za innymi.

— Niech waści o to głowa nie boli; zapewne będę pierwszej gotów od was,—rzekł pan Jan.

— Obaczmy, czy się nie chwali,—mruknął Znamierowski do swoich kolegów.

— Założyłbym się, że tak,—odrzekł Harasowski.

— Z przeproszeniem waszmościów,—ozwał się Raciborski,—ja myślę, że nie, bo widziałem nie raz jego chorągiew; istotnie w wielkim porządku trzymana.

— Tak, zasługuje się marszałkowi nadwornemu,—rzekł Harasowski.—Przecie ojciec jego pono za wierne służby nagrodzon został starostwem. Nie ma to jak służyć Zborowskim!

— Może dlatego tak shardział. Z nikim się nie wdaje, chyba z tym starym predykantem, który go pewnie chce nawrócić na swoją wiarę.

— Kto wie, może już i nawrócił...

Tymczasem pan Jan poszedł zebrać swoich dragonów i w mniej niż w godzinę był już gotów. Słońce zaczynało się chylić, kiedy cała kompania wyruszyła z obozu. Po drodze chłopci, spotkawszy ich, żegnali się i umykali, kryjąc się, gdzie który mógł.

— Ho, ho, znają nas!—zaśmiał się Harasowski.

— Najgorzej to z łyczkami,—ozwał się Znamierowski.—Pochowają juchy wszystko do najdalszych kryjówek i dopiero gdy ujrzą rurę muszkietu, stają się rozmowniejsi i wyspiewają, co trzeba.

— O, ja bo z łyczkami nie bawię się długo, mam na nich sposoby!—rzekł Harasowski, uśmiechając się uśmiechem zarazem złowrogim i wstrętnym.

— A czyście spostrzegli, że jakoś tutejsi ludzie nabierają hardości od pewnego czasu,—rzekł Raciborski.—Snać liczą na przyjsie Zamojskiego.

— Nic im Zamojski nie pomoże!

Tylko pan Jan milczał przez cały czas, chociaż na tyle przywykł do mowy i postępowania tych ludzi, że już go oczy nie raziły tak jak z początku,—bo złe ma to do siebie, iż ciągle z niem przebywanie, jeżeli nie psuje, to przynajmniej czyni człowieka mniej wrażliwym na nie,—a od chwili, w której przestajemy ze wstrętem odwracać się od niego jeden tylko krok do tego, by znalazło ono przystęp do duszy.

Skoro noc nadeszła, rozłożyli się w jakiejś wsi na nocleg i natychmiast żołnierze pana Harasowskiego pokazali co umieją: po całej wsi bowiem rozległy się krzyki i jęki; wieśniacy doznawali takiego traktowania, jak gdyby czambuł tatarski gospodarował u nich. Nie jeden, który próbował jakkolwiek opór stawiać rabusiom i gwałtownikom, padł pod cięciem szabli lub kuli muszkietowej. W jednym miejscu nawet wszczął się ogień, tak sobie wzniecony dla uciechy.

Pan Jan, słuchając tych krzyków i lamentów, uczuł, że oburzenie go porywa i gdyby miał w tej chwili przy sobie swych towarzyszy, byłby im natychmiast, do oczu powiedział co o nich myśli.

Tym razem poprzestał na tem, że zgromadził swoich dragonów,—którzy mieli wielką chęć iść za przykładem tamtych, tylko ich powstrzymywał strach przed poręcznikiem—i rzekł im ostro; w obec chłopów zebranych dokoła:

— Słuchajcie, jeśli mi się który ośmieli popełnić jakiś gwałt na chłopach, dostanie kulą w łeb! A teraz ruszać na miejsca i cicho mi się sprawować.

Gdy żołnierze znikli, podszedł sołtys i pochyliwszy się do kolan, rzekł pokornie:

— Dziękuję wielmożnemu panu, że nie pozwalają krzywdzić biednych ludzi. Ciężko już tak, że ot, choć w ziemię się zakop...

— Tak, ale wy nie zapomnijcie o tem, że żołnierzom także jeść potrzeba, bo dziś kawał drogi zrobili,—więc postarajcie się, by mieli co jeść.

To rzekłszy pan Jan zawrócił konia i odjechał, zostawiając sołtysa w wielkim kłopotcie, bo dobrze to mówić: daj jeść kiedy oddziały wojska, które wpięrow przechodziły, zabrały co mogły i ludzie ledwie zdołali ukryć trochę żywności, któraby im starczyła na przezimowanie.

Ponieważ we wsi nie było miejsca dla wszystkich chorągwi, więc Znamierowski i Raciborski pociągnęli na folwark, leżący opodal, na wzgórzu. Był tam także dwór obszerny z licznymi zabudowaniami; wszystko to należało do pewnego szlachcica, stronnika Zygmunta. Obaj oficerowie, w towarzystwie Harasowskiego, udali się natychmiast do dworu; szlachcica nie było w domu, została tylko żona, podstarość i służba. Żołnierze od razu otoczyli folwark i dwór, rabując wszystko, co było w stodole. Podstarość z początku próbował bronić, ale mu pogroźono kulą i zaraz ustąpił. Jednakże nie wiele co znalaziono, ztąd wynikło podejrzenie, że ukryto część zapasów w jakimś nieznanym miejscu.

Znamierowski i Raciborski znajdowali się już we dworze, gdzie przyjęto ich z wielkim strachem, rozkazali sobie podać natychmiast wino i krzycząc o wieczerzę, zasiedli przy stole.

— A gdzie Harasowski?—spytał Raciborski.
— Zaraz przyjdzie.—odparł Znamierowski,—rozprawa się tam jeszcze z podstarościm; zostawiłem mu to, bo on najlepiej umie. Ale trzeba zaprosić także tego Katona Utyckiego,—chyba będzie wolał tu z nami we dworze, niż w chłopskiej chałupie.

To mówiąc, wysłał żołnierza do wsi po pana Jana; tymczasem zaś obaj we dwóch zaczęli pić stare wino, które przerażony pacholek im przynosił z piwnicy.

— Dobre macie wino,—rzekł Znamierowski. A gdzież to wazs pan?

— Pojechał do Sieradza,—odrzekł pacholek.

— A pani?

— Siedzi zamknięta w komorze.

— No, proszę, tak się nas boją, jakbyśmy byli ludojady. A czemu to pani nie wyjdzie nas sama poczęstować, jak gospodyni przystoi?

— Czy ja to wiem!—odrzekł pacholek,—kazano mi podać wino wielmożnym panom, to i podałem.

Nagle drzwi się otworzyły i wbiegł Harasowski.

— Słyszeliście takich łotrów!—zawołał.—Wszystko pochowali i nie chcą się przyznać, gdzie!

— Nie może być!—zawołali tamci, zrywając się.

— Ale ja tego podstarościego zaraz na gałąź każę wiazać!—krzyczał rozzłoszczony Harasowski.—Obaczmy jak na stryczku zaśpiewa.

Tu drzwi od dalszych komnat się otwarły i do pokoju weszła przerażona żona szlachcica, za którą cisnęła się liczna służba, mężka i żeńska.

— Waszmościowie, zaklinam was na Boga, miejcie litość nad nieszczęsną niewiastą!—zawołała kobieta w trwodze.—Słyszę, że podstarościemu grożą śmiercią, jeżeli nie powie gdzie ukryte są zapasy zboża i paszy, a ja wam przysięgam, że więcej nie mamy...

— Trudno temu wierzyć, bo przecie wiadomo żeście zamożni,—rzekł Raciborski.

— Tak, ale przed wami już tu byli niejedni, którym trzeba było dawać, czego zażądali...

— Mościa pani,—rzekł Znamierowski, który nie był złym, tylko hulaką,—my wam złego nie życzym, tylko nam dajcie, czego nam potrzeba...

— Inaczej podstarości zadynda na szubienicy pod waszem oknem,—rzekł srogo Harasowski.

Właśnie gdy wymawiał te słowa, wszedł pan Jan.

— Pięknie się tu waszmościowie bawicie,—rzekł, stając z brwią zmarszczoną przed Harasowskim.—Tam wasi żołnierze, panie Harasowski, rabują i palą wieś, a tu oficerowie napadli a dwór szlachecki i mordują ludzi...

— A waśc byś się lepiej nie wtrącał w te rzeczy,—rzekł Znamierowski.—Pilnuj swego.

— To po jakiego licha zapraszaliście mię, żebym jechał z wami, jeśli mam patrzeć spokojnie jak czynicie gwałty w domu szlacheckim, tak jak gdybyście byli w nieprzyjacielskim kraju?—zawołał pan Jan gniewnie.—A ja wam powiem, że nie jest to obyczaj rycerski, a raczej tatarski!...

— Już dość czasu żyję na świecie, a jeszcze nie takie chłystki nie uczyli rycerskich obyczajów,—mruknął Harasowski.

— Waszmości już nikt nie nauczy i ja do tego bynajmniej nie mam pretensyi,—odrzekł pan Jan pogardliwie.—Ale zwracam się do tamtych waszmościów,—dodał, podchodząc do Znamierowskiego,—jeżeliście szlachta i oficerowie, tedy nie powinniście dopuszczać do takich gwałtów, inaczej, przez Bóg żywy, nie chcę z wami mieć nic wspólnego i w tej chwili z moją chorągwią powracam do obozu.

Groźba ta podziałała, gdyby bowiem pan Jan ją spełnił, zostaliby z bardzo małemi siłami, wtedy właśnie, kiedy mogli się spotkać z jakim oddziałem Zamojskiego. Znamierowski przysięgł uczuć, że w nim się budzą jakieś resztki wstydu i poczał sam nastawać na Harasowskiego, by podstarościego kazał puścić.

— Hej, zły z waszmości towarzysz, nie spodziewałem się tego, że nas zechcesz opuścić,—rzekł Raciborski.

— Nie opuszczę was, jeśli powstrzymacie swoich żołnierzy od gwałtów i sami nie będziecie im pomagali,—bo przypomnijcie sobie, co wam powiedziałem, gdyśmy wyruszyli z obozu...

— A czy waszmościa kto zmusza byś nam w tem pomagał?—zawołał ze złością Harasowski.—Nikt ci nie każe wieszać podstarościego, a jeśli masz tak delikatne sumienie i ręce, to je umyć!

— Nie wątpię, że waśc masz w tem dosyć wprawy i nie potrzebujesz cudzej pomocy,—odrzekł pan Jan pogardliwie.

— Zgoda, waszmościowie,—przerwał Znamierowski.—Nie kłómy się i zostawmy w spokoju podstarościego, a lepiej ot, spróbujmy tego węgryna, którego nam przyniesiono.

Harasowski dał się skłonić w końcu do wypuszczenia podstarościego z rąk żołnierzy, którzy go dotąd trzymali na dziedzińcu, ale długo jeszcze spoglądał na pana Jana, jak wilk, któremu wydarto zdobycz z paszczy. Że jednak nie śmiał tak bardzo zmierzyć się z nim na szable, więc i złość swoją ukrył głęboko, udając, że niepostrzega pogardliwego traktowania z jego strony.

Gdy powrócili w parę dni potem do obozu, zastali tam wiadomość o zdobyciu Lubowli, zamku na Spiżu, należącego do Kacpra Maciejowskiego, który bawił właśnie w Krakowie, przy Zamojskim. Ponieważ załoga z samych tylko Węgrów się składała więc poddała się z łatwością a Maksymilian obsadził zamek swoim wojskiem. Powodzenie owo dodało ducha bardzo wielu, bo już przed tem niejednen z najzapaśszych nawet stronników arcyksięcia poczał się zastanawiać: do czego to wszystko prowadzi.

Pan Jan żałował bardzo, że nie brał udziału w wyprawie, która przerwałaby trochę jednostajność życia obozowego. Coraz więcej zaczął usuwać się od swoich towarzyszy i coraz częściej widywano go razem z Hohlmanem, który zawsze okazywał mu wiele przyjaźni. Ten, widząc jego osamotnienie, starał się go wprowadzić w koło szlachty niemieckiej i czeskiej, znajdującej się przy Maksymilianie. Byli to wszystko ludzie światli i ogładzeni, po większej części hrabiowie i baronowie, tacy jak: Lichtenstein, Homan, Rosman, Engelhart, Kurtz i inni, składający hufiec wyborowy arcyksięcia. Dzięki poparciu Hohlmana, który był szanowany zarówno przez współwyznawców, jak przez katolików nawet i protestantów, a także dzięki swej ujmującej powierzchowności, młody człowiek był dość dobrze przyjęty w tem towarzystwie, a że w ostatnich czasach zapoznał się z niemiecką mową, łatwo mu więc było śledzić

za tem, co mówiono do koła niego. A były to wszystko rzeczy ciekawe i dziwne. Panowie czescy, katolicy, mówili o reformach politycznych i zdawali się łączyć z protestantami, aby je przeprowadzić; spierano się o to, czy hrabia Turn dobrze czyni, broniąc protestantów i rozmaite inne zagadnienia bywały poruszane, dając pole każdemu do wypowiedzenia swoich poglądów na potrzeby czasu. Pan Jan dopiero teraz poznał, czem w istocie była reformacja dla całej Europy i poczał mimowoli się zastanawiać, czem stała się ona dla Rzeczypospolitej. Dokoła siebie widział tylko warcholstwo i samowolę, którą sprowadziła, ale Hohlman ze swej strony mówił mu o Fryczu Modrzewskim i o jego znakomitem dziele o naprawie Rzeczypospolitej, przytaczając z niego całe ustępy; a wtedy przekonywał się, że i u nas wśród różnowerców byli mężowie myślący o dobrze kraju.

Wśród tego otoczenia, złożonego z ludzi wyćwiczonych w dworskim rzemiośle, przebywali bowiem wciąż na dworze cesarskim—a zarazem światłych i w sztuce wojennej wytrawnych, sam on także nabierał powoli gładkości w obejściu i umysłowej oglady, czerpiąc z rozmów słyszanych dokoła siebie, bardzo wiele wiadomości potrzebnych w jego żołnierskim zawodzie.

Obok tego jednak, ciągle przebywanie wśród obcych żywiołów, z konieczności musiało wywrzeć wpływ swój na niego; wszystko co swoje, wszystkie owe wspomnienia domowe zaczęły powoli zachodzić jakby mgłą i mimowiednie stanał na tem rozdrożu, z kąd jeden krok dalej a znalazłby się tam, dokąd dojść nie zamierzał wcale. Bo była to już taka natura gorąca i nienasycona, bezustannie tworząca sama w sobie przepaście, które następnie zapełniała tem co ją otaczało.

Od pewnego czasu pan Jan zauważył, że podczasy koronny, gdy się tylko z nim spotka, zatrzymuje na nim wzrok bardzo długo, jak gdyby starał się go wybać spojrzaniem. Raz, kiedy młodzieniec wczesnym rankiem został wezwany do pana Andrzeja Zborowskiego i nie zastawszy go jeszcze, zatrzymał się w sali, kędy czekało już kilku oficerów, nagle pan Krzysztof, przechodząc przez tę salę, skinął na niego, by wszedł za nim do przyległej komnaty. Zdziwiony tem nieco, pan Jan pośpieszył jednak za podczaszym, a skoro się znaleźli sami, Zborowski od razu przystąpił do rzeczy:

— Chciałem z waścią od dawna pomówić,—rzekł, patrząc mu prosto w oczy,—a raczej mam cię o coś zapytać...

— Słucham was, panie podczaszy,—rzekł pan Jan, nie rozumiejąc o co idzie.

— Czy to prawda, że skłaniasz się ku przyjęciu nowej wiary?

Na te słowa, powiedziane bez ogródki, krew uderzyła młodzieńcowi do twarzy, a potem pobladł mocno.

— Panie podczaszy,—odrzekł głosem drżącym nieco,—nie wiem z kąd taka pogłoska mogła dość do waszych uszu...

— Zkąd? Zapytaj każdego, to ci to samo powtórzy. Zresztą czy ja wiem, kto mi o tem powiedział, dość, że tak słyszałem i dlatego chciałem ci powiedzieć, że dobrzebyś zrobił gdybyś się nareszcie namyslił i zważył ostatecznie, którego brzegu się trzymać, bo kto nie wie gdzie płynie, ten łatwo utonąć może.

— Dziękuję wam, panie podczaszy za radę,—odrzekł pan Jan, skłoniwszy się, choć w duszy jego wrzało,—ale ja nigdy nie myślałem opuszczać tego brzegu, przy którym zawsze płynąłem dotąd, i ci, którzy tak mówili, skłaniali przed wami.

— Jak chcesz,—odrzekł podczaszy dumnie, ruszywszy ramionami.—Jać nie namawiam; pomysł tylko nad tem i zastanów się, czy twoja przyszłość nie ucierpi, jeśli radę moją odrzucisz...

To wyrzekłszy tonem znaczącym, zawrócił się i wyszedł z komnaty, zostawiając go samego, oddanego na pastwę dręczących myśli.

Więc posądzali go, że już tak nisko upadł, iż zdolen jest dla widoków przyszłości do odstę-

ptstwa nawet? Na tę myśl rumieniec wstydu i oburzenia twarz mu zalewał.

Gdy wyszedł od marszałka, był jeszcze cały wzburzony; znalazłszy się zaś u siebie, oparł głowę na rękę, począł rozmyślać w samotności o tem co usłyszał przed chwilą.

— Nikczemnym byłbym gdybym to uczynił! — wyszeptał przez zaciśnięte zęby, — tak, nikczemnym! — powtórzył — i wstrząsnął się nagle... Wspomnienie ojca ugryzło go w serce...

Nie, nie, tamten nieszczęśliwy nie uczynił tego z wyrachowania, — badał on, cierpiał, szukał, aż wreszcie padł zmęczony na drodze. Ludzie go może nazywali szaleńcem, albo jeszcze gorzej, ale on znał teraz jego życie, wiedział, przeczynał ile ten człowiek cierpiał, nie mogąc znaleźć miejsca na świecie i nie spotykając nigdzie pokarmu dla swej duszy, która wiecznie tłukła się, jak sokół w klatce, od murów klasztornych, aż do skał Dnieprowych.

On miał dla niego gorące, niezmiernie współczucie, ale naśladować go nie mógł, nie chciał!

Długo jeszcze w noc rozmyślał nad tem wszystkim, aż wreszcie zasnął, zmożony owymi wzruszeniami. Natychmiast rozmaite obrazy zaczęły się snuć w jego sennej głowie: stary dwór w Bobrowicach, postać stryja, Magdzi, wszystko to, co zdawało się już zapominać na jawie, stawało teraz przed jego okiem, jak żywe i taka jakaś nieznaną błogość go ogarnęła, że aż ręce ku nim wyciągnął. Ale nagle obrazy owe poczęły się mącić i znikły, a on ujrzał się znów na polu bitwy, wśród palących się domów na Garbarzach; przed nim stał Ignacy ze wznieśioną szablą... Zwarli się z sobą i brat stryjeczny padł krwią zbroczony, u stóp jego.

— Bratobójca! — krzyknął i obudził się, cały zlany zimnym potem.

Wkrótce sen nasunął mu nowe obrazy: zdawało mu się, że widzi Magdzię, która stoi przed nim i patrzy z niemym wyrzutem. Jest blada, smutna, jak jej nigdy nie widział na jawie, — wzrok jej zdaje się mówić:

„Dlaczegoś nas opuścił, po co chcesz wykopać przepaść między tobą a miłującymi cię? Powróć, o, powróć do nas, — nie bądź odstępca!“

Chciał odpowiedzieć jej coś, ale nagle po za nią ujrzał jakiś cień biały, który się pochylił, ręką dotykając ramienia dziewczęcia; lecz tak lekki, tak przejrzysty, jakby za chwilę miał się rozwiać w powietrzu. On wyteżał wzrok by dojrzeć rysów owej postaci, lecz nie zobaczył nic mógł; — skoro się zaś przebudził, pomyślał, że to zapewne duch chorążyny przyszedł przypomnieć mu, by nie zapominał o tem co niegdyś kochał...

Sen ten wywarł na nim nadzwyczaj silne wrażenie; przez parę dni chodził ponury i zagłębił się w sobie; aż pewnego wieczora, wracając z sąsiedniej wsi gdzie stał rotmistrz Tarnowski, usłyszał nagle dzwonek z wieży małego, drewnianego kościółka, widnego z pomiędzy drzew.

— To na nieszpór dzwonią, — rzekł Michał Zawala, który mu towarzyszył — i odkrył głowę, żegnając się.

Mimowolnym ruchem pan Jan zawrócił konia w tę stronę, i wszedł do kościoła, jeszcze prawie pustego. Michał z końmi został pod drzewami.

Nieszpory jeszcze się nie rozpoczęły; kilka bab i chłopów śpiewało tylko, klęcząc po obu stronach ołtarza, ostatni promień zachodzącego słońca wdzierał się przez stare, zamglone szyby i oświecał Chrystusa na krzyżu, wiszącego nad głównym ołtarzem.

Pan Jan stanął z boku i rozejrzał się dokoła. Kościółek stary i skromny, przypominał mu bardzo bobrowicki; takiż sam ołtarz z Chrystusem ukrzyżowanym, takież same ubogie ławki. Na ten widok jakieś rzewne uczucie napełniło jego duszę; wszystko to było tak drogie, tak znane sercu. I zrozumiał teraz jeszcze lepiej, że nigdy, nigdy nie mógłby się wyrzec tego, co stanowiło część jego duszy. Wspomnienia zaczęły otaczać go tłumnie, stawiać przed oczy obrazy z lat dziecinnych...

Dzwonek u drzwi zakrystyi zadzwonił; wyszedł ksiądz, takiż sam biały staruszek, jak proboszcz w Bobrowicach. Rozległ się poważny

głos organów, towarzyszący psalmom, śpiewanym na chórze. Do kościoła weszło kilku szlachty i przyklekli przed głównym ołtarzem, bręcząc karabelami. Chłopi półgłosem szeptałi modlitwy, bijąc się w piersi. Tymczasem na niebie zorze gasły powoli...

Już nieszpory się skończyły, a pan Jan klęczał jeszcze. Wreszcie coś sobie przypomniał i zwrócił się ku zakrystyi, gdzie proboszcz kończył się rozbierać, szepcząc pacierze. Poczekawszy chwilę, młody człowiek zbliżył się ku niemu i rzekł z szacunkiem ale jakby wahał się:

— Księżu proboszczu, chciałem prosić was o mszę...

Staruszek podniósł głowę, a spojrzawszy wpierw na stojącego przed nim młodego ryceza, zapytał po chwili:

— A na czyją intencję?

Pan Jan znów się zawahał, i rzekł wreszcie drżącym głosem:

— Proszę o mszę za duszę Józefa... Tylko — muszę wam przedtem wyznać, że był on... here tykiem...

To mówiąc spuścił oczy i pobladł mocno, czekając co mu ksiądz odpowie. Staruszek popatrzył na niego uważnie, choć bez ciekawości, a widząc bladłość i smutek na jego twarzy, domyślił się niejednego, bo pokiwał głową, podumał chwilę i rzekł wreszcie z dobrocią:

— Mszy za heretyka wprawdzie odprawiać mi nie wolno, ale westchnąć za jego duszę nie wzbroniono nikomu, ponieważ nikt nie może wiedzieć czy w ostatniej godzinie grzesznik ów nie uczuł skruchy i czy Bóg nie okazał mu swej łaski. To zaś co było przeznaczone na mszę, może być rozdane ubogim.

— Dziękuję wam, ojcze, — rzekł pan Jan ze wzruszeniem.

— Niechaj że ci będzie pociechą, mój synu ta myśl, że codziennie będę odmawiał pacierze za duszę tego biednego grzesznika — rzekł stary proboszcz z łagodną powagą. — I wiedz o tem, że miłosierdzie Boże jest bez granic...

Pan Jan w niemem wzruszeniu przycisnął do ust rękę białowłosego starca; te parę słów, wyrzeczone z pełną prostoty dobrocią i wiarą, uspokoiły go i pocieszyły; wyszedł z kościoła zupełnie innym człowiekiem, znikła gdzieś gorycz, która dotąd zatruwała mu duszę, a ciężar smutku, przytłaczający ją od chwili gdy się dowiedział całej prawdy o ojcu, stał się lżejszym.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

RUCH MUZYCZNY.

„Lutnia“ warszawska przez kilkanaście lat pracy artystycznej, zdobyła wśród publiczności naszej sympatję powszechną i dobrze zasłużoną. Tłumy, przybywające na koncerty „Lutni“, uczestniczyły gromadnie i w ostatnim jej wieczorze. Dzielnym ten chór, pod dzielnym kierownictwem dyrektora Maszyńskiego, wykonał świetnie wiele utworów. „Dzban pisany“ Münchheimera, sam w sobie wyborny, dał pole „Lutni“ do wykazania niepospolitych zalet interpretacji; „Nasza Hanka“ Żeleńskiego brzmiała pięknie, wreszcie mazur Noskowskiego „Hejże ha!“ miał zacięcie ludowe i werwę zamaszystą. Ślicznie również wypadła pieśń Moniuszki „Powiedzcie mi!“ Solowy ustęp odśpiewał szlachetnie p. Miłoz Kotarbiński. W koncercie „Lutni“ wzięła udział p. Mira Heller, która zachwyciła wszystkich przepysznym wykonaniem arii z „Hrabiny“, habanery z „Carmen“ i wielu innych pieśni i piosnek. Prof. Wierzbilłowicz czarował tonem śpiewnym swej nieporównanej *czelli*.

Charakterystyczną cechą świeżo ubiegłego sezonu muzycznego była wielka liczba koncertów na cele dobroczynne. Wszystkie te wieczory no-

siły na sobie piętno wysoce artystyczne. Taki np. koncert na Przytulisko, z Sarassatem i panią Gordigiani, zapisał się niezatartymi głoskami w pamięci Warszawy muzycznej. Dzięki zaś troskliwym staraniom hr. Marty Krasieńskiej, mieliśmy koncert na schronienie dla ubogich szwaczek bardzo ładny i bardzo wytworny. Ślicznie grała p. Katarzyna Jaczynowska, pianistka z dużym talentem (własny jej koncert odznaczał się programem i interpretacją wykwinną prawdziwie); oprócz tej artystki w wieczorze wziął udział znowu prof. Wierzbilłowicz..., i Józef Śliwiński, ów bohater sezonu, porywający nasze tłumy, ilekroć się z estrady odezwie. Do tej liczby dodać winniśmy jeszcze ładny koncert na dochód przytułków noclegowych, kiedy to zbierali huczne oklaski p. Michalina Frenklówna i p. Aleksander Myszuga. Nadto deklamował Mieczysław Frenkiel — sala wtórowała mu ustawicznymi wybuchami śmiechu.... Prawdziwy to mistrz słowa i humorysta niepospolity.

Bardzo dobrze zaprezentowały się koncerty kameralne, urządzone w sali namiestnikowskiej przez Instytut muzyczny. Na pierwszym koncercie między innymi odegrano kwartet smyczkowy Smetany w wykonaniu pp. Barcewicza, Cinka, Jakowskiego i Stillera, wybornych ensembleistów. Kwartet jest przesłiczny i przemawia do serca słuchaczy. Waryacje Mendelssohna wykonali na tym koncercie pp. Urstein i Cink. Partya fortepianowa jest bardzo piękna i wymaga nadzwyczaj subtelnej wykończenia przez artystę; należy pod tym względem podnieść świetną interpretację prof. Ursteina, który z zaletami nieporównanymi znakomitego akompaniatora łączy wszystkie przymioty prawdziwego wirtuoza. Waryacje Mendelssohna wypadły też dzięki temu doskonale; dobrym partnerem p. Ursteina był p. Cink, wiolonczelista.

Na drugim koncercie kameralnym grał Śliwiński i Barcewicz. Śliwiński wykonał „Etudy symfoniczne“ Schumanna, „Etude“ Henselta, „Scherzo“ Chopina. Najpiękniej interpretował etudy symfoniczne, wszechwładnie panując nad instrumentem, posłusznym woli artysty bezwzględnie. Barcewicz przemawiał do duszy słuchaczy tonami, które on tylko jeden ze skrzypiec wydobyć potrafi i — nie ma sobie w tej mierze równego nikogo. „Romans andaluzyjski“ Sarassatego, pełen południowego rozmarzenia i namiętności, płynął jak najczarowniejsza poezja w jakimś wierszu, napisanym świetnie i wygłoszonym przedziwnie. „Mazur sielankowy“ Kątskiego, „Polonez“ Wieniawskiego, „Melodya“ Padarewskiego — wszystko to pod smyczkiem mistrza drgało życiem i przenikało nas potężnym uczuciem.

W operze mieliśmy, oprócz p. Russitana, występy samych artystów warszawskich, którzy się bez zarzutu wywiązywali z zadań. Dzięki doskonałej czwórce artystów: pp. Korolewiczówny, Strassernówny i Frenklówny oraz p. Myszu-gi — wszystkie opery budzą ogromne zajęcie i ogólnie się podobają. Po za „Gopłaną“, wciąż zapełniającą teatr Wielki, po za „Halką“, przemawiającą zawsze do tłumów — opery włoskie ze współudziałem naszych śpiewaków nie ustępują zgola importowanym z Włoch wykonawcom. Należy się też utalentowanym naszym artystom za pracę i staranność każdej interpretacji najwyższe uznanie.

Towarzystwo Muzyczne, które w r. 1897 (jak opiewa sprawozdanie) urządziło 31 wieczorów i koncertów z 67 biorącymi w nich udział artystami — oprócz „Liry“, chórów i orkiestry — i wykonało 157 dzieł kompozytorów obcych i 119 — kompozytorów polskich — w sezonie bieżącym uprawiało przede wszystkim sztukę fortepianową. Nie mówiąc już o Śliwińskim, który zajął kilka wieczorów towarzystwa, na estradzie w salach redutowych grali pp. Levinne i Lamond. Pierwszy, ma technikę pierwszorzędną, potrzebuje jednak jeszcze rozwinięcia duchowego; Lamond, głośny pianista szkocki, gra najlepiej kompozycje Liszta. Wirtuoz to wybornie zaznajomiony z kolorytem i bardzo rozwinięty w umiejętności wydobywania efektów dźwiękowych.

Kiedy już mowa o pianistach, zanotować

trzeba występ dwukrotny na estradzie p. Alfreda Grünfelda, który zawsze z sobą przynosi powiew z nad modrego Dunaju. Artysta to *par excellence* wiedeński i interpretujący najlepiej... walc. Poezya i temperament podają tu sobie ręce i rozspoczynają ten melancholijny i piękny istotnie taniec. Przyjmowano p. Grünfelda nader serdecznie, choć na koncercie własnym artysty wiedeńskiego niewiele znajdowało się słuchaczy—no, bo też powódz koncertowa wyczerpała do szczytu siły muzykalne naszego miasta.

Warszawa świeżo zyskała niepospolitą siłę artystyczną w osobie p. Emila Młynarskiego, który został zaangażowany przez dyrekcję teatrów na kapelmistrza. P. Młynarski—wybitny skrzypek (pisaaliśmy o nim nieraz na tem miejscu)—posiada duży talent na dyrektora orkiestry.

Debiut sympatycznego artysty w operze „Carmen“ odznaczył się zaletami tak wybitnymi, iż zjednał p. Młynarskiemu nie tylko gorące przyjęcie publiczności, ale najserdeczniejsze słowa krytyki. Powiedziano o nim nader trafnie, iż „p. Młynarski ma temperament, wrażliwość artystyczną, poczucie psychologii i energię kierownika, który wolę swoją umie przekazywać otoczeniu.“ Nowy dyrektor opery naszej otrzymał pensję, wynoszącą rs. 4,000 rocznie.

Instytut muzyczny poniósł bardzo poważną stratę przez śmierć profesora klasy fortepianu wyższego kursu, ś. p. Erazma Nowakowskiego. Był to pedagog bardzo zdolny, miłujący sztukę i jej adeptów, zasłużony profesor konserwatorium. Kolega ś. p. Nowakowskiego, prof. Sygietyński powiada o nim: „Ujmujący w obejściu, wytworny w stosowaniu wiedzy pedagogicznej i sumienny w spełnianiu obowiązków, znalazł uznanie kolegów i wychowanców; był to syn nauczyciela wytwornego i człowieka zrównoważonego w objawach temperamentu; pisał dużo w zakresie historii muzyki polskiej („Echo muzyczne“) i pedagogiki fortepianowej („Przegląd pedagogiczny“) pozostawiając cenne materiały do encyklopedyi muzycznej w rękopisie. Napisał pieśni: „Przestroga“, „Nie wierzę“, „Serenada“ i „Kołysanka.“ Zasłużył się sztuce i społeczeństwu.

Rada nadzorcza Instytutu muzycznego na opróżnioną przez śmierć ś. p. Nowakowskiego katedrę powołała prof. Ludwika Ursteina, dotychczasowego kierownika klasy fortepianu na kursie niższym.

Adam Dobrowolski.

Z RZYMU.

W Marcu

Wracamy z Watykanu, gdzie w sali Regia, przytykającej do Syxtyny, odbył się dnia 24 b. m. konsystorz papieski, na którym kapelusze kardynałskie otrzymali: JEm. Marcin de Herrera y de la Zglesia (Hiszpan), oraz trzej Francuzi; JEm. Coullie, Lebouré i Sourrie. Nowi kardynałowie otrzymali tytuły prałatów rzymskich. Ceremonia odbyła się w sposób następujący: o godzinie 10 i pół rano Ojciec św. wniesiony był przez sale Ducale w otoczeniu dworu świeckiego i duchownego na „sedi gestatorii“, wśród strusich wachlarzy, przez obie sale, natłoczone cudzoziemcami aż do tronu. Nowi purpuraci, wprowadzeni przez kardynałów-dyakonów, ucałowali nogę i rękę Papieża. uściskali się z kardynałami, siedzącymi po bokach tronu, poczem

z rąk Leona XIII odebrali kapelusze. Przez ten czas adwokat konsystorski, Baltazar Capagrotti, czytał po raz trzeci t. z. peroracyę w sprawie beatyfikacy i kanonizacy Joanny d'Arc; tym sposobem sprawa ta przeszła do kongregacy obrządków. Ojciec św. wrócił następnie w tym samym porządku do swego mieszkania, gdzie odbył się konsystorz tajny. Tutaj Leon XIII wypowiedział krótką przemowę, zaznaczając niezłomność praw Stolicy świętej i smutne warunki, w jakich się obecnie znajduje. Na konsystorzu publicznym byli obecni na trybunach: ks. następca tronu szwedzkiego Gustaw Adolf, wielki mistrz zakonu maltańskiego hr. Ceschi, ciało dyplomatyczne, wśród którego zasiadał Kazimierz hr. Badeni z małżonką.

W tych czasach książę Abruzzów gotuje się do podróży ku biegunowi północnemu. Z trzech synów Amadeusza księcia Aosty i hrabiny Cisterna, jedyny to człowiek poważny i mający ambicję, wychodzące po nad sport i nieskazitelny, modny krój ubrania. Książę Abruzzów, znany już z podróży do Alaski i dosięgnięcia góry św. Eliasza, chce posunąć się po za punkt, osiągnięty przez Nansena w 1895 roku i marzy o zatknięciu włoskiej trójkolorowej chorągwi jak najbliżej bieguna północnego. Król Humbert przeznaczył ze swojej szkatuły na koszt tej wyprawy pół miliona lirów, resztę wydatków pokrywa młody książę, który ma 150,000 lirów rocznego dochodu. Otoczenie księcia jest dość liczne; samych Włochów jest około 20, brali oni udział w wyprawie do Alaski. Jak wiadomo, Nansen zapędził się pomiędzy lodowce, z jednym tylko towarzyszem, czemu też należy przypisać względnie małe rezultaty jego ekspedycyi.

Pomiędzy Korsyką a półwyspem Toskanii znajduje się na morzu Śródziemnem mała, bardzo skalista wysepka Monte Cristo, słynna z romansu A. Dumasa (ojca); wystaje ona z wód morskich jak głowa cukru i wygląda tajemniczo. Wyspę dzierżawi od rządu margrabia Ginori, właściciel fabryki porcelany, której wyroby bardzo są we Włoszech cenione, nie mówiąc już o starej porcelanie Ginori, dochodzącej do cen bardzo wysokich. Margrabia Ginori zaprosił na polowanie księcia Neapolu i grono bliższych znajomych, bo na wyspie są dziki i zdziczałe kozy, trzymające się spadzistych skał. Książę przybył z Neapolu na własnym jachcie. Polowanie trwało pięć dni z naganką i ze sforą 40 psów. Myśliwi i strzelcy wspinali się na skały i urwiska, z kąd wspaniałe roztaczają się widoki; zdarza się, iż dzik postrzelony spada do morza. Na wyspie jest dom myśliwski, w którym całe towarzystwo nocowało. Na dzikie kozy poluje się, opływając ku wieczorowi wysepkę, gdyż kozy chronią się wieczorem do skał nadbrzeżnych, i wtedy się do nich strzela. Zabito 24 dziki i 12 kóz.

Król Humbert ofiarował niedawno Henrykowi Siemiradzkiemu oznaki orderu komandorskiego św. Maurycego i Łazarza; jest to wysoka godność dla nagrodzonego i wielka łaska królewska. Ostatnimi czasami bawili w Rzymie profesorowie: St. Smolka z Krakowa i J. Kallenbach z Fryburga, oraz Julian Klaczko, który wyjechał do Paryża, gdzie wydaje znakomite dzieło p. t. „Rzym i Odrodzenie.“

Kurya papieska mianowała na opróżnione biskupstwo w Diakowie ks. dra Warszaka. Władze węgierskie bardzo są z tego niezadowolone, nowy bowiem dostojnik kościelny dał się poznać jako gorliwy obrońca uciskanych przez madziarów rodaków swoich chorwatów. Widocznie przezorny, bystry wzrok Leona XIII ujrzał w tem pożytek kościoła i narodu chorwackiego.

Zawiązał się tu temi dniami komitet między-

narodowy, „w celu złożenia uroczystego hołdu Zbawicielowi świata Jezusowi Chrystusowi i Jego Namiestnikowi na schyłku obecnego i początku przyszłego wieku.“ Komitet zostaje pod opieką Ojca św.; zaprasza on katolików całego świata dołączenia się w jedno serce i w jedną duszę—w tym celu, aby wielki objaw wiary, miłości i zadośćuczynienia pozostał jako wzór dla przyszłych pokoleń. Z Polaków do komitetu weszli: ks. prałat dr Wincenty Smoczyński w Galicyi (Tenczynek p. Krzeszowice), ks. prałat Kazimierz Skirmuntt i O. Antoni Ziebur, sekretarz. Komitet w ciągu trzech lat bieżących poleca urządzenie misyj duchownych i ćwiczeń świętych: kazania, konferencje publiczne i prywatne, winny być ciągle uwzględniane; ułatwić one mają poznanie Jezusa Chrystusa i Jego dobrodziejstw. Do tego celu używać należy druku i dzienników. We wszystkich dycezyjach należy urządzać nabożeństwa i obchody religijne, oraz zachęcać, aby na schyłku wieku, dla okazania pobożności i wiary, pielgrzymowano do miejsc świętych. Komitet urządza trzy wielkie pielgrzymki: w r. 1898 do Lourdes, w r. 1899 do Ziemi Świętej, a w r. 1900 do świętego domku w Lorecie, ztąd do Rzymu. Ktoby miał przeszkody, niech przynajmniej duchowo tam podąży. Szereg pielgrzymek w r. 1900 i 1901 zakończy się pielgrzymką do kościoła św. Krzyża Jerozolimskiego w Rzymie. Komitet zaleca usilnie staranie przekazania następnym wiekom pamiątki uroczystego wyznania wiary katolickiej w końcu XIX wieku: mają być mianowicie w tym celu urządzone krzyże z napisem: „Rok 1900. Jezus Chrystus, Bóg-człowiek, żyje, króluje i rozkazuje.“ W każdej katedrze i we wszystkich kościołach głównych powinien być wmurowany taki krzyż pamiątkowy i odsłonięty w nocy, łączącej stary wiek z nowym.

Prace i obrady komitetu są w pełnym rozwoju i nowemi szczegółami pomnożą wkrótce ogólnie dotąd nakreślony plan nabożnego zamknięcia i nabożnego rozpoczęcia stuleci.

K. War.

Z bieżącej chwili.

— Najbliższą nowością teatru Rozmaitości będzie komedia, zawsze sympatycznie u nas widzianego, Michała Bałuckiego „Szwaczki“, z której codziennie odbywają się próby.

— Jeden z najbardziej utalentowanych artystów polskich, p. Bolesław Leszczyński, w nagrodę za 25 letnią pracę na scenie Warszawskiej 40 letnią w zawodzie scenicznym, otrzymał pozwolenie Dyrekcji na urządzenie poranku na swój dochód. P. Leszczyński wybrał na ten poranek sztukę rzadko u nas grywanego autora Ibsena p. t. „Dzika kaczka.“

— Teatr Krakowski, zapoznał publiczność z nowym pisarzem dramatycznym. Jest nim p. Maciej Szukiewicz, którego „Uluda“, grana obecnie na tamtejszej scenie, zyskała powodzenie. Sztuka posiada wprawdzie wiele wad, są one jednak wynikiem braku doświadczenia młodego autora, który nie umie jeszcze patrzeć w życie. Umiał natomiast Szukiewicz pozostać samodzielnym w obrobieniu przedmiotu.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołączył się: arkusz 7 T. II, powieści, p. t. *Masarenowie* przez Ouidę. Przekład Z. S.

Treść: Pogawędka, przez ?? — Sonety, przez Jana Iwańskiego.—Listy Teofila Lenartowicza do Eli (Izabelli (od 1871—1893 r.).—Bezkrólewie, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez Adama Dobrowolskiego Z Rzymu, przez K. War.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkusz 7 T. II. Przekład Z. S.—Przegląd mód. 29 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.